

wspomniał, że on sam, gdy ją dźwigał, nie czuł ciężaru.

— Hm! Więc obozuje przy armatach. Trzeba z nią coś... zostawać tak nie może... Co?...

— Według rozkazu pana pułkownika, bo i nie sporo. Młodziutkie biedactwo i drobne... ale cóż, dziewczyna, maruderów... a i naszym ciekawości nie brak...

— Masz rację, masz rację — mruknął Bem. — Przyprowadź ją tu, zobaczymy co, kto, jak!...

Zarzycki salutował i wykonał pół obrotu.

Pułkownik atoli coś jeszcze sobie przypominał, bo zawołał nań.

Młody podoficer zatrzymał się i wyprężył służbiście. Lecz pułkownika jakoweś niezwykle roztargnienie zdjęło, bo miał Zarzyckiemu zapytanie czyli rozkaz rzucić, ją mierzyć wielkimi krokami klepisko szopy.

Zarzycki trwał bez ruchu, wodząc oczyma za Bemem.

Uplynęła tak długa chwila. Aż pułkownik dźwignął ociężałe ramionami, potrafił z impetem szczerpę drzewa, zagradzającą mu drogę do podoficera i zatrzymał się tuż przed nim.

— Zarzycki.

— Uwagam.

— Więc ten, dobrze się spisuje... Tak, ty i Iliński. Jestem kontent z was, bardzo kontent...

— Rad zasłużyć.

— He — a no tak. Przyłożyć się jeszcze w wolnym czasie, do książek zajrzeć... Wyuczyć się, jak pancerza proporcji wagomiaru do odległości i podnoszenia wysuwów. Fortyfikacji polowej trza ci liźnąć; koszkopy, przedpiersienie również ci się zdadzą. I sztuki ogniów gotowania i kul musisz... I ten wyjdiesz!

Zarzycki pokraśniał. Bem wpatrzył się w guzik mundur podoficera.

— Wyjdiesz!... Iliński także wyjdzie. Jednemu szkoła aplikacyjna na pędza armatniej nauki, a drugiemu same armaty wygadają, jak z niemi... Do porucznika wam niedaleko!... Starać się a nie minie was. To sobie acan zakonotuj i to powtórz tamtemu, powiedziałem, nie minie...

— Uwagam! — wyjąkał z przejęciem Zarzycki, poruszony do głębi tak niesłychaną łaskawością pułkownika. Lecz ten snąć inaczej zrozumiał odpowiedź podoficera, bo brwi ściągnął wyraźnie i mruknął ze złością.

— Co? Krzyża ci się zachciało! Cacka? Świecidełka! Niebieskiego gałganka!?

— Jako żywo!

— Tój-sam! Nie łżyj! Znam was! Ojczyzna w gębie, a w sercu wisiołek, dzynrzyk metalowy. Byle go przyszpilić, byle nim bimbać ludziom w oczy, byle tumanić!

Bem odsapnął i ją mierzyć znów krokami klepisko.

— Wszyscyście tacy! Krzyża! U mnie niema krzyżów! Żadnych suplik, żadnego wybierania, kto wart a kto nie wart. Weźmie który granatem w trzewia, to krzyż sobie wyjęczy. W ulanach, piechurach, ciemiegach tak, no a u mnie tak! Niema żadnych przedstawiań, niema orderzyków! Służba jest, artylerya, armata! Rozumiesz jeden z drugim!

— Według rozkazu! — stęknął załośnie Zarzycki.

Bem złagodniał raptem.

— Aha! Możesz odejść. Bardzo dobrze. Więc ją przyprowadzisz... Ale bo — dodał sięgając do mantelzaków — czekaj no. Weź tę tabakierkę. Mam ją po generale Sokolnickim... Bierz na pamiątkę i... i... ten o krzyżach, fatalaszkach nie myśl!

— Panie pułkowniku...

— Głupstwo. Zażywasz tabakę?

— Nie, panie pułkowniku.

— No więc będziesz ją zażywał; bo widzisz, generał Sokolnicki wielkim był artylerzystą! Gdyby był dożył... Możesz odejść.

Zarzycki znikł w otworze szopy.

Bem znów pochylił się nad mantelzakami i przebiegał w podręcznych drobiazgach a szukał, wreszcie z pudełka dobył piękną, złotem, cyzelowanem blaskami nabijaną ładownicę. Obtarł ją starannie, obej-

rzał, musnął po pięknym monogramie, gryfami miśternie rzeźbionymi do pokrywy przytwierdzonym, westchnął i ułożywszy ładownicę w puzderku, — zamknął je na dwa kruczki.

W otworze szopy znów ukazał się Zarzycki.

— A jesteś! Weźmiesz asan to puzderko i dasz Ilińskiemu. Powiedz mu, że Włodzimierz Potocki pod Raszynem ją nosił... wówczas kiedy ja chodzę w podoficerskich obszlegach... Więc Ilińskiemu dasz, bo... bo... mi to wcale nie potrzebne.

Zarzycki odebrał puzderko z rąk Bema i sięgnawszy poza siebie, bąknął półgłosem.

— Chodź sama!...

Z mroku wysunęła się ciemna, wątła postać dziewczęcia i pchnięta zlekka przez podoficera, zatoczyła się na środek ku pełni, rzucanego przez gorące łuczywo, światła.

Bem, na widok obcej, nieznanej mu postaci, która zdała mu się jednym, szarym, bezkształtnym lachmarem, cofnął się z odrazą. Lecz że Zarzycki dodał obocznie:



Zwoju map dobywszy, ją je rozkładać i przezierać...

— Według rozkazu pana pułkownika — niby ta, co pan pułkownik kazał...

Bem pohamował odrzę i spojrzał uważniej ku dziewczynie.

Stała przed nim z przystonietymi powiekami, z bolesnem odrętwieniem na czerniałej od prochu i dymu twarzyczce, w koronie oplątanych czarnych, jak szmaty, które ją ledwie w połowie okrywały włosów. Chude, obnażone jej ramiona, poprzewiązane brudnemi, splamionemi krwawą rdzą szmatami, zwisały bezwładnie. Koścista, sucha pierś czerwonymi szramami i brunatnymi strupami upstrzona, wychylała się ze strzępów zgrzebnej koszuliny.

Bema litość zdjęła. Wszak ci biedactwo, niedola, wyglądała mu na podrostka, na dziecko, liczące mniej lat niż palców o drobnych a tak już poszarpanych rączyn.

Pułkownik ujął dziewczę pod szyję i zadart jej głowę ku światłu.

Powieki dziewczęcia poruszyły się, lecz głowa poddała się bezwładnie.

— Nie mylił się. Trzynastolatek, licha co więcej!... I tu na szyi pręga sina!... Lazaretu by trzeba... odzienia... nędza... włóczęga, sierota...

Naraz, powieki dziewczęcia rozwarły się, mignęły smutnem, przyćmionem, lękliwem światłem,

aż snąć z wilgoci, która je pławiła, nabrały mocy, bo wpatrzyły się w zoraną bliznąmi twarz pułkownika z taką rzewnością, z taką pokorą, że ten ostatni przerwał badanie, puścił głowę dziewczęcia i odwróciwszy odeń, ją przechadzać się po klepisku.

Juści Bemowi wydawało się jasnem, że przecież tego biedactwa nie przystoi mu zbyć, oddać na pastwę losu wojny a na ofiarę żołądactwa. Nie dlatego przypadek kazał mu ją ocalić, aby teraz świadomie ją wydał na okrutniejszą, bo dłuższą mękę. Cyganiatko, czy jak, ale dziecko. Trzebaby coś, nie uchodzi nie poratować — ba, ale jak. Zmordowane to, pokaleczone. A tu straż przednia i pobietewny zamęt.

Bem zerknął ku Zarzyckiemu.

— Acan cobyś myślał uczynić z nią?

— Co pan pułkownik uważa — odrzekł bez zająknięcia podoficer.

— Bajesz! W tem sęk, że tu nie tylko pieczy by trzeba, ale niańki... Widzisz acan, wszak ci to dziecko prawie.

Zarzyckiemu przypomniało się, kiedy, wysłany raz z papierami dla doręczenia pułkownikowi, rozmawiał się oko w oko z samą panią Honoratą i kiedy to od jej wspaniałych, bujnych kształtów aż go ciarki napadły.

— Prawda, panie pułkowniku — odrzekł smętnie. — Dziecko! Chude to, drobne, kościste... żeby... żeby to była... prawdziwa niewiasta!

Bem uśmiechnął się nieznacznie.

— Toby ci się pewno za rękę wodzić nie dała!... Hm!... Jeden Dziurbacki potrafi.

— Nikt inny! — przyznał gorąco Zarzycki, któremu równie oczywistem się stało, że nikt inny w baterii nad starego profosa, wszystkich sztuk najosobliwszych majstra, wybrnąć zręcznie z kłopotu nie zdoła.

— Czy jest na służbie?

— Dziurbacki? — Gdzieżby!

— Wołaj go do mnie.

Rozkaz tym razem łatwiejszym był do wydania niż do spełnienia, choć z pozoru szło niby o zbudzenie jednego z nierozdzielnych, niemal nieodłącznych baterii konnej strażników. Profos Dziurbacki bowiem ze zgola osobiwej korzystał wolności a bodaj samowoli, która poczęła się w czasach nie możliwych do ujęcia.

Każdy z dowódców baterii, kapitanów, żołnierzy, ilu ich od formacji roku 1815 było, — ten już Dziurbackiego takim zastał. A choć ten i ów usiłował Dziurbackiego w rygorze równym a w odległości przystojnej utrzymać — nie zdołał, bo ani postrzegł się, gdy profos górę wziął i po swojemu, po dawnemu się zachowywał.

Bywało dawniej, że sam generał Hanke o Dziurbackim czegoś się dowiódł i marsa nań postawi. Profor artylerii gwardyi, niby uszy stuli, niby zezuje strachliwie, a po chwili za pan brat rozprawia z generałem o jakowychs razem przebytych turbacyach.

Bywało że sam Wielki książę wpadnie do koszar, chmurny, zły, nieporządek na gorącym ucapi i pułkownika Szwerina, cały sztab dywizyi gwardyi na równe nogi zerwie i dopieroż każdemu według rangi rozdawać zacznie. Generałowi Krasińskiemu twarz zblednie ze wzruszenia, Milbergowi aż zęby szczękają, oficerom, żołnierzom dech w piersi zamiera a Dziurbacki nic, zezuje po swojemu, zuchwami ospowate policzki porusza — aż sobie spojrzenie Wielkiego wymani.

Książę spojrzy ostro z pod krzaczastych brwi, zda się profosowi na lejbiku płamę znajdzie lub czapę zbakierowaną postrzeże, gdzie tam.

— I stary Dziurbacki — a ty co? — zawoła rażno książę. Profos wyprostuje się, huknie bez zająknięcia.

— Garści nie pożałuję, co by subordynacya była!

Książę na taką odpowiedź roześmieje się i niekiedy dorzuci z intencją, aby profosa wytrącić z rezonu.

(Ciąg dalszy nastąpi).